№ 31.

Warszawa dnia 23 Lipca / 4 Sierpnia R. 1866.

TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

POGLĄD NA EPOKĘ ODRODZENIA LITERATURY ANGIELSKIEJ od połowy zeszłego wieku.

(Dokończenie).

Przedstawiliśmy już poprzednio, że literatura angielska przy końcu zeszłego stulecia, spowita klassycznemi formami, chcąc dźwignąć się szukała nowych szranek, w których swobodniéj duch narodu mógłby się rozwijać. Zgodnie z naturą ludzką, skłonną niezmiernie do naśladownictwa, gdy własnych sił nie ma dostatecznie wyrobionych, pisarze angielscy zwrócili się do literatury francuzkiéj, która jakkolwiek nie porzuciła jeszcze dawnych wzorów, zawsze jednak odziała je barwą miejscową, przybierając przez to cechę pewnéj oryginalności. To jednak przystrajanie się w cudze piórka, nie mogło zadowolnić wrzącéj myśli ogółu, przesyt w prędce nastąpił, i umysły zwróciły się do miejscowych materjałów, do przeszłości, przemawiającéj wymownie, w legendach, w pieśniach, podaniach i gruzach po starych zamczyskach. Rzucono się więc do budowy nowego gmachu, Persy zbiorem pieśni gminnych założył dla niego fundamenta, Burns nauczył przemawiać słowem wysnutym z własnego ducha żadnym obcym nie owładniętego wpływem, pełnym jednak uroku i nieprzebranego zasobu miłości wszystkiego co go otaczało. Walter Skott w przeszłość narodu tchnął życie i poszedł daléj za wskazówką Burnsa, brakowało więc jeszcze potęgi poetycznego słowa, któreby dźwiękiem rodzinnéj lutni było niejako uwieńczeniem kierunku rozwiniętéj pracy.

Słowem tym przemówił George Noel Gordon lord Byron, urodzony w roku 1788, ze starożytnéj ale podupadłéj rodziny szlacheckiéj. Ojciec jego Jakób dla marnotrawstwa, nieporządnego życia i szalonych wybryków przezywany zwykle wściekłym Jakóbem, odumierając trzechletniego syna, zostawił go wraz z matką w bardzo krytycznem położeniu. Przygnębiona niedostatkiem zmuszoną była zamieszkać w Szkocji, oddając się z całem poświęceniem wychowaniu dziecka, na którego rozwój niezmiernie korzystnie miejscowość wpływała. Od urodzenia posiadając jedną nogę krótszą od drugiéj, i skutkiem tego troszkę upadając, często o tę wadę prześladowany, doświadczając przytem przykrych następstw niezamożności, od młodego wieku nabrał pewnéj goryczy i cierpkości charakteru, odstręczających od niego nawet najżyczliwsze serca. Dla umysłu tak drażliwego nie mogło to pozostać bez szkodliwego wpływu, robił się więc coraz więcéj dzikim, zniechęcającym do świata i ludzi, tak dalece, że już w późniejszych troszkę latach, przywiedziony tem wszystkiem niemal do szaleństwa, zawołał z rozpaczą:

— „Jak można było u licha, taki świat jak nasz stwarzać! Po co narobiono tylu uprzywilejowanych kobiet i mężczyzn starych, a przedewszystkiem po co mnie stworzono? Na wszystko dalibóg nie umiem odpowiedzieć.“

Skeptyczny ten wybuch zbytecznéj wrażliwości, odbił się późniéj we wszystkich poetycznych jego utworach, i stał się niejako wybitnym poety znamieniem, wyróżniającem go z pomiędzy wszystkich innych pisarzy. Pomimo nogi krótszéj od dziecka obiecując bardzo urodziwego kiedyś młodzieńca, otoczony świeżem gór powietrzem, cudną naturą i cudniejszym od niéj urokiem legend i podań górali, wyrastał w siłę, śmiałość i zręczność, tak że stał się późniéj najlepszym pływakiem, jezdzcem, szermierzem i strzelcem. W dziesiątym roku życia przez śmierć dziada swego lorda Williama, dostał w spadku znakomity majątek i tytuł lorda i para Anglji. Tak korzystna zmiana

położenia, dozwoliła matce troskliwiéj zająć się nauką syna i skutkiem tego oddała go do sławnéj szkoły w Harrów. Po sześcioletnim pobycie, mając lat szesnaście zakochał się na wakacjach u swéj matki, w pewnéj panience Marji Chaworth, ale ta żartując z uwielbień tak młodego chłopca, poszła za mąż za człowieka kochanego przez siebie ale nie zajmującego zbyt świetnego w świecie położenia. To niezmiernie obraziło dumnego młodzika, pamięć tego przywiązania nigdy już nie wygasła w jego duszy, ale wpłynęła również na rozjątrzenie jeszcze większe niechęci jego do świata i ludzi, przemieniając się czasami we wzgardę i nienawiść.

W siedemnastym roku życia przy końcu pobytu w szkole Harrowskiéj, pokazały się pierwsze poetyczne próby Byrona, ale z niemi nie ośmielił się wystąpić publicznie. Przeniesiony późniéj do uniwersytetu w Cambridge z jakimś niewysłowionym szałem rzucił się w rozpustne życie, stając się prawdziwą plagą poważnych nauczycieli. Przebywszy tam tylko dwa lata, ulegając namowie, w dziewiętnastym roku życia wystąpił pierwszy raz publicznie ze zbiorem poezji pod tytułem *Godziny wolne*. Były to jeszcze drobnostki, pisane pospiesznie, z widocznemi jednak śladami téj potęgi, jaka go późniéj tak wysoko wyniosła. Przyjęte chętnie przez publiczność, w krytykach Edymburgskich znalazły zawziętych przeciwników i zostały osądzone z pewną wzgardą i lekceważeniem. Był to nowy cios dla ognistéj duszy Byrona o którym także nie zapomniał przez całe życie, chociaż zemścił się dostatecznie wydaniem satyry, *angielscy poeci i Szkoccy krytycy*, ścierającéj na proch literackich prześladowców.

Przez dwa lata następne, po wydaniu pierwszego zbioru poezji, Byron z towarzyszami zamknięty w starym gotyckim zamku, prowadził życie hulaszcze, przesadzając się w wynajdowaniu coraz nowszych szaleństw. Ukończywszy lat dwadzieścia, objął należne mu miejsce w izbie lordów, ale powaga zgromadzenia nie mogła żadnym sposobem zgodzić się, z jego poetycznym niepokojem, szukającym ciągłéj zmiany, ciągłego materjału dla gorącéj wyobraźni.

W owym czasie we wszystkich literaturach, przechodzących z klassycyzmu do romantyzmu, rozszerzał się szczególniejszy pociąg do pomników umysłowych Wschodu. Zdawało się, jakby instynktowe przeczucie nowego zwrotu literackiego błąkające się po różnych mysterjach, przeczuwało, że tam znajdzie w owéj wspólnéj całego rodu ludzkiego ojczyznie, obfity materjał dla siebie. Wszystkie umysły poetyczne zwrócone były ku Wschodowi, ku Indjom. Byron drwiąc ze wszystkiego nawet z siebie, towarzystwo do którego należał rodem i mieniem, przezywając starym szmatem zblakłym, z użytym i bezbarwnym, a tak nudnym, sztywnym, jednostajnym i wynaturzonym, że nie mógł dostarczyć przedmiotu nawet do najdrobniejszéj poezyjki, przytem z natury dumny, cierpki i gwałtowny, nie mógł naturalnie mieć wielu dla siebie życzliwych. Zniechęcony więc, rozdrażniony, niezadowolony sam z siebie i ze świata, zwrócił oczy ku Wschodowi i wybrał się w podróż ze swoim przyjacielem Hobhouse. Przebiegłszy Portugalją i Hiszpanją, Grecją i Turcją, wrócił do Anglji i wydał w r. 1812 pierwsze dwie pieśni Child Harolda, które tak zrobiły ogromne wrażenie, że nie tylko cała edycja rozerwaną została w jednym tygodniu, ale nawet najzawziętsi jego nieprzyjaciele musieli się przyłączyć do chóru ogólnych pochwał. Uznanie to, ogień natchnienia w Byronie zdało się podwajać: stanąwszy tak nagle na najwyższym szczeblu literackiego znaczenia, zaczął tworzyć caraz nowsze poemata z wielkim zapałem rozrywane przez czytającą publiczność. Zaraz więc w następnym roku 1813, wydał Giaura pełnego przepysznych obrazów, pobłyskujących ogniem miłości i zemsty, a wkrótce za nim dwie powieści *Narzeczona z Abidos* i *Korsarz*, starannie niezmiernie wykończone. W roku 1814 pokazała się *Lara* i koniec *Korsarza:* zaś w 1815 wyszły cudownéj piękności *Hebrajskie melodje*, pisane na wzór prastarych izraelskich proroków. Poeta opowiada w nich elegijnym tonem, znakomitsze czyny wojenne i głosem bolejącego serca, wystawia dawny i teraźniejszy stan dzieci Izraela. Przy końcu tego samego roku, wydane zostały znowu dwa poemata: *Oblężenie Koryntu* i *Parizina*.

Ponieważ w pracy naszéj nie możemy zajmować się szczegółowym rozbiorem wszystkich utworów Byrona, ograniczemy się więc na pobieżnym przebiegu znakomitszych. Najoryginalniejszym i najgłębszym jest poemat Child Harold.

Uwielbienie dla natury i jéj piękności, zamiłowanie cnoty, miłości, wszędzie rzewliwa melancholja, bogactwo myśli i obrazów, są głównemi rysami tego poematu. Przytem język jest tak jędrny, szlachetny i dobitny, tak pełen rzewliwości i piorunującéj siły, że prawie żadnego innego utworu poetycznego porównać z nim nie można. Najdojrzalszem zaś dziełem jest Don Juan nie ukończony i zawierający tylko szesnaście pieśni. Jest to prawdziwa igraszka rozpasanéj i rzutnéj duszy poety, wszystkie namiętności uszlachetniające i poniżające człowieka, śmiech, sarkazm, złorzeczenia, satyra, rozpusta, okrucieństwo i szalona pogarda świata, występują tu na przemian, potrącając się wzajemnie, jakby w walce o pierwszeństwo. Wszystko to jednak niby promień słońca rozpraszający ciemności, oświetla czarująca miłość greckiéj dziewicy Haidy, marzącéj i igrającéj zarazem. Gete powiada, że Don Juan jest to genjalny utwór przechodzący prawie siły ludzkie, że pełen jest nienawiści ludzi aż do okrucieństwa i serdecznéj miłości aż do najsłodszych wzruszeń.

W poematach Byrona potężnych i nieporównanych, przebija się zawsze pewna ponurość, przeloty zwątpienia będące owocem rozdrażnienia duszy znakomitego wieszcza. To jednak robi go prawdziwym tegoczesnym wielkim poetą, gdyż czuć, że obrazuje stan usposobienia społeczności ludzkiéj, która zerwawszy z przeszłością, stoi przed przyszłością niepewna, trwożna, nie wiedząc jeszcze jakie podstawy przyjąć dla swojéj myśli. Krytycy widząc w tych poematach tyle tryskającego gniewu, łez i smutku, zrobili zarzut że w sercu Byrona nie było nigdy rozwinięte uczucie prawdziwéj miłości. Była to tylko niechęć do wielkiego poety, bo wszystkie jego bohaterki, Leila, Zulejka, Medora, Gulnara, Parizina, Angiolina, Ada, Mira, Najha, Hayde i Maryna, są ideałem dziewiczéj piękności i wierności. Gdyby Byron nie umiał kochać prawdziwie, czyżby umiał Mirę przedstawić w tak pięknym i szlachetnym charakterze, jaki naj-

genialniejszy umysł przy zimnem sercu nie potrafiłby utworzyć?

Inne prace pomijamy, znane są one u nas w wybornych przekładach Mickiewicza, Odyńca, Ostrowskiego Wład. Chodźki Aleks. Budzyńskiego, Krauza, J. Korsaka, Bojanowskiego, Szydłowskiego i innych, nadmieniemy tylko, że we wszystkich poematach, Byron w bohaterach przedstawia sam siebie, a chociaż to zbliża ich do siebie, wlewa jednak właściwy im urok pociąga i zachwyca. Im więcéj poeta staje się sam sobą, tym pieśń jego z większą tryska gwałtownością i grzmi tonem nieśmiertelności i chwały.

Ponieważ zamierzamy skreślić opowiadnie o jednym szczególe z życia Byrona mniéj znanym, powtarzanym w portach morza Śródziemnego a odnoszącym się do czasów jego pierwszéj podróży po Wschodzie, zmuszeni więc jesteśmy przytoczyć niektóre okoliczności, dotyczące prywatnego życia poety.

Według życiorysów drukowanych, Byron w r. 1815 w dwudziestym siódmym roku życia, powziął zamiar ożenienia się i dokonał tego z Anną Izabelą Milbanke Noel. Nie stworzeni zupełnie dla siebie, po roku pożycia rozłączyli się na zawsze, do czego głównie przyczyniły się niesnaski wynikłe z roztrwonienia przez poetę większéj części majątku. Byron w rozrzewniającym poemacie *Bądź zdrowa!* otwarcie przyznaje się do winy, ale zamiast uzyskać współczucie i powrót żony, obrzucony został przez niechętnych mu, poziomość duszy okrywających płaszczykiem szczególnéj pobożności, jadem tak okropnéj nienawiści i prześladowania, że unikając udręczeń, przedał posiadany majątek i w początku zaraz następnego roku 1816 wyjechał żeby już Anglji nigdy nie zobaczyć. Przez lat cztery ciągle przejeżdżając po Szwajcarji i Włoszech, w Wenecji osiadł najdłużéj i rzucił się w wir niezmiernie szalonego życia. Mimo tego pióro nie wypadało mu z ręki, wrzący duch Byrona wzmagał się i po nad skorupą ziemi unosił się, niby orzeł wzbijający się pod same obłoki.

Nowa miłość przykuwszy go do stóp szesnastoletniéj kobiety hrabiny Teresy Guiccioli, zaślubionéj starcowi, z którym się wkrótce rozłączyła, wyrwała go z tego szału i obłędu życia. Z nią to w towarzystwie ojca i brata, wyjechał do Rawenny, ale wplątany do towarzystwa Carbonarów tak wybornie odpowiadających jego duchowi nieumiejącemu znosić choćby najmniejszego przymusu, zmuszony był wyjechać do Pizy, w któréj dotknęła go straszna boleść bo strata ukochanéj kobiety.

W roku 1823 postanowiwszy nieść pomoc Grecji, zebrał wszystkie jakie miał jeszcze fundusze i w następnym roku przybywszy do Missolungi, własnym kosztem wystawił brygadę Suliotów. Zgniewany na ociąganie się wyprawy, zaziębił się, wpadł w śmiertelną chorobę z któréj już nie powstał i umarł w dniu 19 Kwietnia 1827 roku a w trzydziestym dziewiątym swego życia. Zwłoki przewiezione zostały do Anglji, ale angielskie świętoszki zanadto z obłudy swéj i nieprawości odkryci, wydrwieni i wyszydzeni byli przez Byrona, aby mu mieli przebaczyć nawet po śmierci.

To też pomnika w Westminsterze nie pozwolono postawić, i ciało spoczywa dotąd przy wiejskim kościele w Hucknell. Pozostałe po nim pamiętniki z wyraźnego rozporządzenia poety dostały się Moorowi, ale familja lękając się tego pośmiertnego głosu poety tyle zdziałała, że zostały dobrowolnie przez obdarowąnego spalone. Szkoda to nieodżałowana, któréj nie wynagradzają wydane później przez Moora listy i dzienniki Byrona z r. 1830.

Odrodzenie zatem literatury angielskiéj, ostatecznie przez Byrona dokonane zostało, i dla tego słusznie czas w którym tworzył nieśmiertelne swoje poemata, nazwany został epoką Byronowską. Na utworzenie jednak jéj od pierwszego zbioru pieśni gminnych Persego około r. 1750 wydanych, potrzeba było niemal wieku całego i trzech tak wielkich potęg umysłowych jakiemi byli Burns, Walter Skott i Byron, aby się literatura angielska pozbyła dawnych wpływów, a utrwaliła na nowych zupełnie podstawach. Jakże więc powolnym jest postęp myśli ludzkiéj i jak mozolne podnoszenie jéj od ziemi ku krainom ducha otrząśniętego z ciężaru materji.

Jaki stan piśmiennictwa był u nas, kiedy taki przewrót dopełniał się w literaturze angielskiéj, przedstawiemy to w następnym szeregu artykułów.

Liście.

Oj! rosną drzewa,
Rosną zielone,
Wicher rozwiewa,
I w różną stronę
Liściami miecie
Po świecie.

Jedne padają,
W łąkę kwiecistą,
A inne w wodę
Jak niebo czystą,
Inne znów na dno,
W męty i bagno!

Wicher tak miecie,
Liście po świecie.
W morzu zanurzy,
Zbrudzi w kałuży,
I ogniem spali,
I w proch obali!

Jak liście drzewa,
Wicher rozwiewa,
Tak duszę twoje
Rozerwą boje,
Bo cierpieć trzeba
Dla nieba!

Zuchwałe ramię
Piorun ci złamie,
Wiosny marzenia,
Grobowym głazem,
Zgniotą cierpienia,
Prawdy obrazem.

Pójdziesz sam w świecie,
Wątły jak dziecię,
I walczyć będziesz,
Nieraz w ciemności,
Choć walkę zewrzesz
W imię miłości!

W téj z życiem walce,
Grot ci zażarcie
Pierś twą rozkrwawi,
A krzyż cię zbawi.
Och! bo dla nieba
Krzyża potrzeba!

Kielce. *Liljana.*

Pogadanka Tygodniowa.

W przyszłą Niedzielę odbył się koncert na korzyść rodziny, pozostałéj po ś. p. Janie Maliku oboiście orkiestry teatralnéj. Był to dowód szacunku i przyjaźni artystów dla zmarłego kolegi, cześć oddana jego pamięci, i współczucie dla tych, co przez stratę męża i ojca najwięcéj stracili. Program składał się przeważnie z dzieł polskich kompozytorów, wykonano koleją, utwory Dobrzyńskiego, Kratzera, Münchhejmera, Kani, Moniuszki, śpiewy ułożone były do słów Mickiewicza, Brodzińskiego, Wasilewskiego, a oprócz całéj orkiestry i chórów teatralnych, wzięły współudział pierwszorzędne nasze artystki, panny Kwiecińska i Graetz: z artystów zaś panowie Prohazka, Filleborn, Koehler i Cieslewski. Wybór dzieł był tak starannie i z takim gustem dopełniony, że dawno, bardzo dawno z podobnym nie spotkaliśmy się, wykonanie zaś czyż mogło być złe, gdy takie talenta przyjęły współudział w koncercie?

Zadowolenie też było ogólne, oklasków prawdziwie zasłużonych nie szczędzono, publiczność zachowała się z całem poszanowaniem dla sztuki przedstawiającéj się w tak wyborowych utworach, a nawet co rzadko się zdarza, widocznie mało zaludniona motylami salonowemi, w ciszy i powadze dosłuchała do wyjścia, gdy stanowczo umilkły tony finału czwartego aktu Niemy z Portici. Jaką koncert przyniósł korzyść materjalną nie wiadomo, zawsze da nie małą pomoc dla rodziny, którą przeważnie praca ojca utrzymywała. W każdym razie zasłoni ją od nędzy, nie obcéj progom osamotnionym ubytkiem artysty ojca lub męża. Myślą urządzenia koncertu, wyjednaniem stosownego pozwolenia, uproszeniem artystów, i usunięciem licznych trudności, nieodłącznych od każdego podobnego zbiorowego wystąpienia, zajął się pan Juljan Fejst kolega zmarłego ś. p. Malika, za co mu szczere podziękowanie słusznie przynależy. A jakkolwiek w wykonaniu tak poczciwéj myśli, u wszystkich artystów znalazł największą gotowość i zacną chęć współudziału, zawsze jednak była to pomoc braterska, któréj pamięć zachowa w sercu osierocona rodzina.

W Warszawie znajduje się Towarzystwo wsparcia podupadłych artystów, ale celem jego jest niesienie pomocy członkom swoim jeszcze żyjącym, którzy po opłacaniu składki przez lat dwadzieścia, nabierają prawa do zasiłku dożywotniego w kwartalnych ratach, w ilości stale oznaczonéj pobieranego. Dla rodzin zaś pozostałych po zmarłych artystach, nigdzie nie ma żadnéj uorganizowanéj pomocy, bo na etacie nadającym prawo do emerytury, znajduje się ich nader szczupła liczba, większość zaś żyje z codziennéj pracy, zaledwie tyle przynoszącéj zarobku, ile jest koniecznie potrzebnem na opędzenie choćby jak najskromniejszych zwykłych potrzeb życia. Literaci, malarze, rzeźbiarze i drukarze w podobnem zupełnie znajdują się położeniu: — póki zdrowie służy i talent rozkwita w całéj swéj świeżości, jeszcze pół biedy, przy usilnéj i bardzo mozolnéj pracy, głodu się nie nacierpią, choć nawzdychają porządnie gdy przyjdzie zrobić jakiś konieczny znaczniejszy cokolwiek wydatek. Ale niechno obwiśnie ręka nawiedzona chorobą, niech przyjdą tylko chwile stagnacji literackiéj i artystycznéj, niech się zamkną wszelkie źródła zarobku, literaci i artyści, co dzień, co godzina, chudną, schną, więdną i dlatego nie darmo, z dawien dawna wszystkich u nas pracowników, piórem czy pędzlem, uosobiano w postaci bladéj, nędznéj, wysuszonéj, wychudzonéj, wyraźnie często głodnéj i spragnionéj. Lekarstwa na to nie przedstawiam, bo z podobnem położeniem rzeczy, łączy się wiele innych, trzebaby więc nie lekarstwa ale całéj apteki.

Gazety doniosły, że w St. Francisko, zawiązało się towarzystwo assekuracyjne, dla zabezpieczenia piękności kobiet. Każda ocenia swoją piękność do wysokości dowolnéj, z obowiązkiem płacenia odpowiedniéj składki. Ubezpieczenie trwa tylko od 15 lat wieku życia do 30, i w tym czasie Towarzystwo obowiązuje się wypłacić summę assekuracyjną każdéj z kobiet, która zbrzydnie skutkiem choroby lub jakiego nieszczęśliwego wypadku. Nie ma wątpliwości, że piękność, wdzięk, uroda, są to dary bardzo wabne i ponętne, nieujęte ani piórem ani pędzlem, bo zawsze im braknie życia, téj mowy duszy, owego uroku, który roztacza dokoła blask jutrzenki zwiastującéj słońce, lub drganie fali w promieniu księżyca. Są to skarby drogocenne, nieoszacowane, lubione i ukochane przez wszystkich, każdego zachwycające, nęcące i pociąga-

jące, ale w motylowem życiu, w krótkim przebiegu lat, pełzną, przyciemniają się i jak kwiaty gubiąc listek po listku, czernią sią ruiną, niby wyniosłe baszty po starych zamczyskach. Piękność zatem, uroda, czyli to co oko zachwyca, rzecz niezmiernie znikoma, jak ów skarb ewangeliczny, co go rdza czasu niszczy a mól gryzie i zjada. Lekceważyć go jednak nie można, nawet szanować należy, bo zawsze jest darem Bożym, zadosyć czyniącym wrodzonemu nam poczuciu piękna i przez oczy wchodzącym do duszy. Strzedz tylko trzeba, aby w pielęgnowaniu go nie było przesady, aby wszystkie starania, zabiegi nasze, nie jemu wyłącznie były poświęcone, aby rozumiano, że jest tylko dodatkiem jakkolwiek drogocennym, ale przypadkowym, nie przynoszącym żadnéj zasługi posiadaczowi, — że wreszcie w téj znikoméj cielesnéj powłoce, mieści się druga istota, myśląca, czująca, rozumiejąca i pojmująca, która wymaga naszéj pracy i starania, aby czynności te wykonywała dobrze, z pożytkiem dla siebie i społeczeństwa. Maksymy to stare jak świat, każdy je zna, przesycony niemi i nasycony, a jednak rzecz szczególna, nie tak są w życiu ludzkiem praktykowane, jak na to zasługują. Za pięknością wszyscy przepadamy i uganiamy się, zarówno mężczyzni jak kobiety, do podniesienia jéj i uwydatnienia, całe niemal wychowanie młodzieży jest skierowane, strzeżemy jéj jak oką w głowie, i kiedy niknie, zmienia się i ulotnia, tysiącznych używamy środków, aby choć cień jéj zatrzymać choćby jeden ton z téj harmonji wdzięku, co nas tak niegdyś cieszył, a świat dziwił i zachwycał.

Dowód to przewagi materji nad duchem; zespolenie, utrzymanie w nich równowagi, daje życiu ludzkiemu, spokój, zadowolenie, słowem ów błogi stan, za którym każdy dąży a mało kto go dosięga. Wdzięk młodość, uroda, przyciąga i wiąże ludzi w pary; myśl rozumna, uczucie szlachetne, przykuwa ich do siebie i związek robi szczęśliwym i nierozerwanym. Uzacnianie więc przez naukę, niechże towarzyszy naszéj troskliwości o nadobną powierzchowność, któréj brak przymioty moralne zawsze zastąpić mogą, gdy tymczasem szczupłe zasoby myśli, niczem wynagrodzić się nie dadzą, nawet pięknością pierwszą pomiędzy pięknościami. Przykładów na to nie brakuje, każdy dostarczyć ich może poszperawszy choć cokolwiek w pamięci.

Znam kilka panien, zdumiewającéj urody, każdy je chwali, uwielbia, młodzież się kręci, nadskakuje, podziwia każde poruszenie, ugania się za spojrzeniem i zdają się słać plackiem u stopek młodych piękności. Z serca jednak nikt jeszcze nie zrobił ofiary, myślą nie uwiązł przy urodziwych dziewicach, bo te przesadzoną wiarą w swoją piękność, jéj poświęciły wszystko i serca nie nauczyły czuć, a myśli działać i rozumować. Niektóre z nich już przekwitają, tracą więc wszystko, gmach piękny sypie się w gruzy, szczerby, szczeliny coraz jaśniéj przyświecają, a przez nie przegląda rozpacz, niby puszczyk w zwaliskach straszący krzykiem przechodniów. Jeżeli z nich niektóre znajdą dozgonnych przyjacieli, jakaż rękojmia szczęścia, gdy się w proch rozsypie to, co z prochu powstało? Znam znowu inne, panienki bardzo niepowabne, nie straszące szpetnością, ale z pozoru zupełnie nie nęcące ani pociągające, ale jakież to w nich główki, jakie serduszka! W rozmowie cokolwiek dłuższéj, szczególniéj w przedmiocie ważniejszym, nagle ożywiają się lica, policzki okrywają się purpurą szlachetnego zapału, z oczów tryskają promienie, a na twarzy całéj rozlewa się wyraz rozumnéj myśli, świadczący o niepospolitych darach umysłu. I w jednéj chwili znika owa pozorna szpetność, w jéj miejsce rozkwita dziwny jakiś powab, wdzięk nieokreślony coś tak miłego i ponętnego, że oprzeć mu się trudno, a uwielbiać każdy musi. Wprawdzie roje płochych motyli nie szumią w koło nich hymnem pochwał i podziwu, ale zaręczam Was, że każda z nich albo zdobyła już albo zdobędzie, serce prawdziwie męzkie, jedynie mogące kobietę rzeczywiście uszczęśliwić.

Znam wreszcie nie piękne, ale bardzo urodziwe i bardzo starannie ukształcone panienki. Są to prawdziwe gwiazdy wśród ciemnic ludzkości, przyświecają bowiem i pociągają do blasku, dobra, piękna i wszystkiego co człowieka podnosi, uzacnia i uszlachetnia. Tych żywych kwiatków na szczęście ziemi naszéj nie brakuje, niechże więc niemi przystroi się cała, a obrzydłe chwasty wyplenią się z niéj do szczętu.

O UBIORACH

Obecny miesiąc nie wiele dostarcza materjałów do zwykłego tygodniowego sprawozdania. W sklepach znajdują się jeszcze te same towary, któreśmy tylokrotnie opisywali, a w magazynach prawie te same fasony kapeluszy, sukien i okryć.

Najwybitniejszą cechą dzisiejszego ubrania jest prostota połączona z dobrym gustem. Skromna sukienka muślinowa, z lenosu, bareżu albo popeliny, pierwszeństwo trzyma przed kosztownemi materjami, które nawet przez starsze osoby, wyłącznie używane

są tylko do bardzo strojnego ubrania, lecz nie na codzienne przechadzki.

Podczas pogodnéj i ciepłéj pory letniéj powszechnie przyjęto suknie jasne a nawet zupełnie białe, czy to z muślinu, alpagi lub bareżu *mozambique*.

W tych dniach widzieć nam się zdarzyło kilka sukien przygotowanych na uroczystość weselną i te w krótkości opiszemy. Biała muślinowa na różowéj jedwabnéj, przeznaczona była dla druchny. U dołu szeroki wolant ozdobiono wstawką gipiurową i kokardami różowemi. Stanik pod szyję z długiemi lecz wązkiemi rękawami uszyty był z muślinu i wstawek gipiurowych, podszyty różową materją.

Druga suknia biała muślinowa z bufkami u dołu, na lilla podwleczeniu, odznaczała się także wytwornym gustem i elegancją.

Kilka jeszcze sukien muślinowych na białem tle w kolorowy rzucik, w pasy lub girlandy z kwiatów na każdym brycie, stopniowo zwężające się ku górze, zupełnie były gładkie. Staniki u jednych wycięte u drugich zachodzące z tyłu pod szyję, a z kwadratowym wykrojem na przodzie, garnirowane były odpowiednią wstążką do desenia.

Suknia ślubna z białego *poult de soie* pokryta krótszą spódnicą w kształcie tuniki z tiulu jedwabnego, miała brzeg cały objęty skosem jedwabnym. Stanik wycięty obłożony u góry skosem, garnirowany z obydwóch stron koronką. Pasek z materjału sukni, zakończony z przodu rozetą. Rękawki krótkie składały się z bufki marszczonéj. Pod spód kładła się szmizetka illuzjowa z długiemi rękawami. Takiż sam welon burnusowy z wieńcem kwiatu pomarańczowego uzupełniać miał ubranie.

Do wyprawy należała suknia czarna *poult de soie* krajana w kliny, ze stanikiem pod szyję zapiętym na złote wypukłe guziki. Baskina przyszyta do paska przypinała się osobno i formowała paletocik do wyjścia na ulicę. Rękawy płaskie i baskina przybrane były czarną gipiurą.

Suknia jedwabna lilla, w czarne punkciki, spódnicę krajaną miała formą Gabrjeli. Kliniaste bryty przylegały zupełnie płasko do bioder, oprócz jednego prostego bryta z tyłu, który ułożono w głęboki kontrafałd. Wzdłuż brytów naszyta była obok siebie koroneczka kluni na dwa palce szeroka, przedzielona w środku wązką czarną aksamitką. Naszycie dane było na przednich i tylnych brytach po trzy razy; od boków zaokrąglało się do tyłu i przechodziło nad obrębem. Stanik gładki ze srebrnemi guzikami, opasany paskiem z naszyciem gipiurowym i rękawy płaskie z takimże garnirunkiem przy ramieniu i rękach uzupełniały całość. (Naszycie sukni podobne było, do przedstawionego w rycinie paryzkiéj przy Numerze 29 Tygodnika Mód.)

Suknia bareżowa na białem tle w różowe pasy, krajana w kliny, miała u dołu wolant pół łokcia szeroki, objęty różową materją na trzy palce szeroką. W tem miejscu gdzie wolant przymarszczony był do sukni, przystebnowana znajdowała się takaż pliska. Stanik wycięty, gładki, z tyłu zapinany na haftki, obszyty u góry białą modestką z przeciągniętą wstążeczką różową, miał tylko krótkie epoleciki. Na wierzch wkładał się krótki kaftaniczek zaokrąglony z przodu, objęty różową materją. Długie lecz wązkie rękawy, że tylko ręka wolno przejść mogła, ozdobione były również ukosem z różowéj materji na sztywnym muślinie. Pasek bareżowy objęty z obydwóch stron ukosem jedwabnym, zakończono rozetą na przodzie.

Suknia popielata jedwabna w drobne poprzeczne paseczki białe krajana w kliny, stanik miała wycięty z krótkiemi rękawkami, zapięty z przodu na srebrne guziki. Na wierzch przeznaczona była pelerynka tiulowa garnirowana koronką brukselską i szczoteczką tiulową z aksamitką czarną w środku. Długie rękawy tiulowe odpowiednio garnirowane, wszyte były do krótkich rękawów jedwabnych.

Na głowę do téj sukni, służyć miało ubranko z torsady ryżowéj i takichże żołędzi. Z tyłu spadał łańcuszek *Bénoiton* złożony ze wstążki niebieskiéj i białych blondynowych wstawek.

Opis formy baskiny przypinanéj, kamizelki dla chłopczyka od 6 do 8 lat, dwóch czepków nocnych i krinoliny.

N. 1. Przód baskiny *Peplum*.

N. 2. Bok.

N. 3. Połowa tylnéj części baskiny.

N. 4. Połowa paska do którego się przyszywa baskina.

N. 5. Całość baskiny *Peplum*, formującéj z gładkim stanikiem paletocik do figury. Suknia z alpagi niewarowego koloru, obłożona u dołu skośną plisą z brązowéj materji. Guziki powleczone takąż materją, przy których we dwoje złożony sznureczek brązowy, naśladuje dzierganie dziurek do zapinania. Baskina i rękawy przy staniku tak samo objęte, pasek pokryty również brązową materją.

N. 6. Przednia część kamizelki dla chłopczyka od 6 do 8 lat.

N. 7. Połowa pleców.

N. 8. Klapka do kieszeni.

N. 9. Pasek do ściągania kamizelki z tyłu, kraje się z dubeltowego perkalu.

N. 10. Całość kamizelki. Wzór przedstawia kamizelkę najnowszego fasonu bez kołnierza, z białéj piki z guzikami perłowemi. Podług numeru 6 wykrawają się dwie części pikowe i dwie części z perkalu na podszewkę; podług numeru 7 wykroić plecy w całości z perkalu dubeltowo złożonego. Gdy już kamizelka zeszyta podług liter jednakowych, odwrócona na prawą stronę i ostebnowana w około brzegiem, prawa strona zaopatruje się dziurkami, a lewa guzikami. Podług linij podwójnéj oznaczonéj na przodach, przeciąć kamizelkę, wszyć kieszonki perkalowe i pokryć klapkami pikowemi ostebnowanemi w około. Kamizelki tym fasonem zarówno używane są przez mężczyzn dorosłych, jak i przez chłopczyków. Szczególniéj krój ten dogodny do kołnierzyków szeroko wykładanych.

N. 11. Połowa przedniéj części krinoliny.

N. 12. Bok.

N. 13. Tylna część.

N. 14. *a* Całość krinoliny.

N. 14. *b* Wzór naciągania stalek na przedniéj części krinoliny. Krinolina do codziennego użytku najpraktycz-

niejsza z wełnianego wyrobu popielatego w czarne lub pąsowe pasy, złożona z 5 części kliniasto krajanych. Podług N. 11 kraje się część przednia z dubeltowo złożonego materjału w całości. Podług N. 12 i 13 po dwie części przypuszczając każdéj części na zeszycie, aby obwód u dołu wynosił łokci 5. Gdy krinolina już uszyta podług liter jednakowych podszywa się ją z lewéj strony listewkami 3 centymetry szerokiemi do nawleczenia stalek, które w końcach obszyte są płótnem, żeby się pokrycie nie psuło. Krinolina na wysoką osobę powinna mieć obrączek stalowych 10, z tych w około 8 sztuk, 2 stalki nawleczone tylko do przedniéj części, a jednę od boku do boku. Odległość listewek dokładnie wskazują na formie Numera. Przy dwóch stalkach krótszych przyszyta jest taśma elastyczna, którą się zakłada do tyłu, biorąc krinolinę na siebie. U góry wszywa się w pasek perkalowy, zakończony tasiemkami do wiązania. Do sukien jasnych właściwe tylko białe krinoliny.

N. 15. Połowa czepka nocnego. Podług téj formy przykroić dwie części, zeszyć i podwrębić przez środek, podszyć listewką z tyłu, do nawleczenia tasiemek do ściągania, obrąbić czepek naokoło i obszyć gładko tiulikiem nicianym albo falbaneczką haftowaną. Końce tasiémki do ściągania przeciągają się przez obrobione dziurki w środku. Bandaże do wiązania czepka pod brodą 46 centymetrów są długie, szerokie 6 centymetrów.

N. 16. Połowa główki czepka nocnego, innym fasonem.

N. 17. Bok do tegoż czepka. Podług N. 16 przykroić główkę z płótna ukośnie złożonego, przykładając materjał do linij środkowéj. U dołu przypuścić należy 1 centymetr na obrąbek, jak również tyle przy krajaniu boczków, do których się główka przymarszcza i pokrywa przystebnowaną listewką 1 centymetr szeroką. Garnirunek składa się z haftowanéj falbanki batystowéj 2 centymetry szerokiéj przy twarzy, a 5 centymetrów szerokiéj z tyłu formująca karczek. Falbanki do obszycia trzeba jeszcze raz tyle, ile obwód czepka wynosi. Skośna listeweczka przystebnowana przez środek falbanki. Bandaże 47 centymetry długie i 5 centymetrów szerokie, garnirowane są u dołu haftowaną falbanką.

(Wzory powyżéj opisanych czepków nocnych, znajdują się na tablicy z bielizną, dodanéj do Numeru 28, oznaczone Numerem 23 i 24.

Opis drugiéj strony arkusza z formą kaftanika marynarskiego, sukienki dla dziewczynki od 2ch do 5 lat, dwóch czepeczków i napierśnika dla małego dziecka.

N. 1. Przednia część stanika wyciętego dla dziewczynki od 2 do 5 lat.

N. 2. Bok przedni.

N. 3. Bok do pleców.

N. 4. Połowa pleców.

N. 5. Połowa rękawa.

N. 6. Kieszonka. Wzór przedstawia sukienkę z popielatéj piki rypsowanéj u któréj stanik, pasek, kieszonka i dół spódniczki obszyte są białą bawełnianą torsadką albo wstawką z imitacji kluni. Podług Numeru 1 wyciąć przednią część w całości, podług numeru 2, 3 i 4, kraje się po dwie części, tak wierzchu jak i podszewki perkalowéj. Gdy już wszystkie części wierzchu sfastrzygowane z podszewką, pozeszywać stanik podług liter jednozgodnych i plecy zaopatrzyć w haftki do zapinania. Rękawki składają się z bufki przykrojonéj w całości, przykładając wzdłuż materjał na linję środkową. Ufałdowany w kontrafałdy i zeszyty rękawek wszywa się w pachę, objętą wypustką, z drugiéj zaś strony w gładki dubeltowy pasek, aby ręka swobodnie przejść mogła. Sukienka 25 centymetrów szeroka i 35 centymetrów długa, układa się w siedm kontrafałdów, rozporek z tyłu obrębia, przyszywa do stanika gęstemi ściegami za igłą i pokrywą z lewéj strony taśmą albo pliską. Pasek 4 centymetry szeroki, na podszewce perkalowéj obszyć pasmanterją, przyczepić kieszonkę, zakończyć z tyłu rozetą z piki i haftkami do zapięcia. Podług Numeru 6-go kraje się kieszeń z dwóch części, jedna większa idzie na spód, która zarazem klapkę tworzy, druga część dochodzi tylko do zagięcia klapki. Po zeszyciu kieszonki i ozdobieniu jéj pasmanterją, dodać jeszcze dwa guziki białe na klapce, a jeden guzik na wierzchu kieszeni do zapinania.

N. 7. Połowa napierśnika dla dziecka małego. Podług formy wykrawa się napierśnik w całości wraz z paskiem do którego się przyszywają tasiemki do zawiązywania lub z jednéj strony zaopatruje guzikiem, a z drugiéj dziurką obdzierganą do zapinania. Napierśnik cały obdziergany białą bawełną w ząbki i urządzony do zapięcia z tyłu na trzy guziki webowe.

N. 8. Całość napierśnika z białéj piki.

N. 9. Nagłówek czepeczka dla dzieci, rok mających.

N. 10. Bok.

N. 11, Całość czepeczka dla dziewczynki. Wzór przedstawia czepeczek haftowany na cienkim połbatyście, z garnirunkiem 1 i pół centymetra szerokim, dzierganym w ząbki. Podług Numeru 9 oznacza się na półbatyście jedna część; podług Numeru 10 dwie części, na których się wyrysowywa deseń i haftuje atłaskiem i punkcikami wypukłemi. Po wyhaftowaniu deseniu na czepeczku, wykrawa się podług oznaczonéj formy nagłówek, przymarszcza do boków i zeszywa w ten sposób, aby gładki szew przypadał na lewą stronę, z wierzchu zaś przykrywają się marszczki wązką listewką z obydwóch stron przystebnowaną. Brzeg czepeczka w około podszywa się z lewéj strony listewką 2 centymetry szeroką, z tyłu nawlekają się w nią tasiemki 20 centymetrów długie, przeprowadzając je do ściągania obrobionemi dziurkami. Długość falbanki haftowanéj do garnirowania czepeczka wynosi 92 centymetrów; bandaże po 35 centymetrów długie i 3 i pół centymetry szerokie służą do wiązania.

N. 12. Połowa czepeczka dla dziecka 6 miesięcznego.

N. 13. Denko.

N. 14. Całość czepeczka.

Najpierw trzeba kawał półbatystu uszyć w zakładki szersze i węższe, podług numeru 12 ukroić czepeczek w całości, przykładając materjał poprzeczny do środka głowy, a długość do twarzy. Następnie wykroić denko podług numeru 13 z gładkiego półbatystu, przymarszczyć do niego czepeczek i pokryć z wierzchu skośnym paseczkiem $^3/_4$ centymetra szerokim. Czepek można ogarnirować falbanką albo tiulikiem. Długość bandaży i tasiemek do ściągania z tyłu taka sama, jak u powyżéj wymienionego czepka.

N. 15. Przednia część kaftanika marynarskiego.

N. 16. Połowa pleców.

N. 17. Patka do kieszeni.

N. 18. Połowa kołnierzyka.
N. 19. Rękaw.
N. 20. Mankiet.
N. 21. Epolet.
N. 22. Całość kaftanika.

Na marynarkę taką, używana jest flanelka zupełnie biała lub też biała w paski niebieskie, fijołkowe, czarne albo pąsowe. Służyć także może miękka syberyna albo czarny kaszmir wyszywany w rzucik perełkami żetowemi, na podszewce jedwabnéj, — jak również każdy materjał wełniany z którego suknia zrobiona.

Podług Numeru 16-go i 18-go przykroić plecy i kołnierz w całości, przykładając materjał dubeltowo złożony wzdłuż środkowéj linij, oznaczonéj na formie. Podług numeru 15, 17, 21 i 22 przykroić po dwie części, jak również i na każdy rękaw, podług numeru 20 po dwie części, z których dolna podcięta jest, jak to linja i napis na formie wskazuje.

W obu przodach przeciąć na kieszenie, gdzie podwójnie oznaczone linje i litery E F, wszyć perkalowe kieszonki 9 centymetrów głębokie i pokryć z wierzchu klapkami, objętemi jedwabną wypustką koloru pasków lub odpowiednią do materjału.

Gdy już kaftan podług jednakowych liter zeszyty, pokrywają się po lewéj stronie szwy tasiemką albo wstążeczką, a cały brzeg naokoło podszywa ukosem z lustryny lub materij 2 i pół centymetra szerokim. Tę samą materją użyć należy do podszycia kołnierza, mankietów, epoletów. klapek do kieszeni. Guziki dobierają się podług gustu z lawy, konchy perłowéj, lub szmuklerskie.

N. 23. Centymetry. Miara francuzka używana powszechnie w krawiectwie. Metr zawiera sto centymetrów.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg).

Wszystkie prawie kamelje mają tę wadę, że za nadto bujnie zakwitają, a raczéj za wiele wydają pączków, ponapychane po dwa lub trzy na końcach gałązek, pomiędzy liśćmi a łodygą. W takim razie zdarza się często, że z téj wielkiéj ilości pączków, żaden nie rozkwitnie jak należy. Uprzedzając to, trzeba poświęcić część owych pąków, aby ocalić resztę. Ponieważ szypułka kwiatu bardzo krótka i słabo przyczepiona do gałązki, a pączki trzymają się ściśle z sobą, chcąc odjąć niektóre z nich, można łatwo utracić wszystkie. Najlepiéj zatem postąpić w taki sposób: bardzo ostrym nożykiem pościnać przez połowę pączki, skazane na zniszczenie, dotykając ich bardzo lekko. Niższa część pączka uschnie w krótce i spadnie sama, i odsłoni pozostałe pączki. Dopóki kamelje pozostają w żardynierce, należy co dwa lub trzy dni oczyszczać wszystkie ich liście, pocierając je zwilżonym gałgankiem, albo gąbką, dla uwolnienia ich od kurzu, który wstrzymując wegetację roślinną przez zatkanie porów przyprowadziłby je do chorobliwego stanu. Podczas ciepłego deszczu można je wynieść na dwór, wówczas obmywanie byłoby zbyteczne, gdy deszcz oddaje im też posługę.

Wrzosy (Erica). Rodzaj Erica i rodzaj Epaeris, bardzo podobny do pierwszego, znane są oba pod ogólnem nazwiskiem wrzosów. Najpiękniejsze ich odmiany, pochodzą z przylądka Dobréj Nadziei. Wszystkie te rośliny mimo bogactwa odmian, bardzo zbliżone są do siebie. Do najładniejszych i najmodniejszych należy: (Erica abietina) i (Erica vestila) dwie prawdziwie piękne odmiany. Wrzosy delikatniejsze są czulsze na zimno niż kamelje. Gdy je kupujemy w kwiecie, wychodzą one z temperatury umiarkowanéj. Trzeba je też wziąść od razu, do najlepiéj ogrzanego pokoju. Aby nie cierpiały od chłodu należy na noc zbliżyć żardynierkę do komina, a w dzień oddalać je z tamtąd; tym sposobem mniéj uczują różnicę temperatury między nocną a dzienną, w pokoju mieszkalnem. Wrzosy wymagają umiarkowanego, ale częstego podlewania; zbyteczna wilgoć więcéj nie szkodzi niżli susza. Mimo najtroskliwszych starań, wrzosy giną najczęściéj po okwitnięciu w żardynierce, szczęściem że cena ich dosyć jest dostępna, można je też łatwo odmieniać z roku na rok.

(d. c. n.)

PRZEPISY KUCHENNE.

Ciastka śmietanowe.

Szklankę śmietany kwaśnéj, szklankę masła, szklankę cukru, i półtory kwarty mąki, zmięszać wszystko razem, wyrobić dobrze i formować ciastka rozmaitych kształtów — smarować jajkiem i maczać w siekanych migdałach zmieszanych z tłuczonym cukrem.

Pianka z jabłek na gorąco.

Jabłek kwaskowatych 16 upiec w piecu a potem przetrzeć przez sito, dodać 12 łutów cukru tłuczonego, trochę cynamonu i pianę tęgą z 12 białek. Wymieszawszy jak najdelikatniéj całą massę, wyłożyć na półmisek w kształcie piramidy ugładzić i ukarbować nożem. Najlepiéj do tego wybrać półmisek okrągły, i wstawić w piec wolny na pół godziny. Wydając na stół skropić sokiem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z formami: baskiny przypinanéj, kamizelki dla chłopczyka, dwóch czepków nocnych, krinoliny, kaftanika marynarskiego, sukienki dla dziewczynki, dwóch czepeczków i napierśnika dla dziecka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

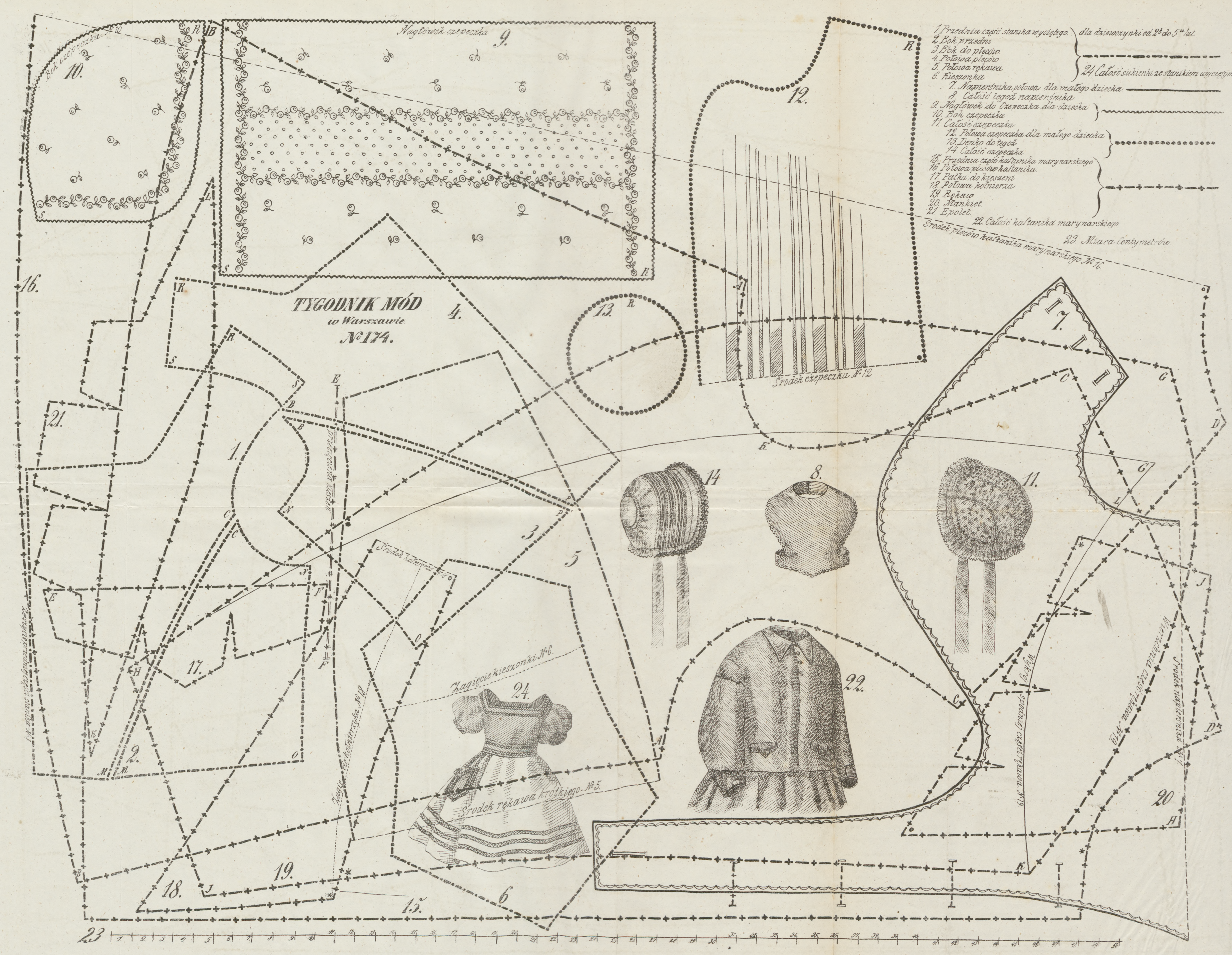
TYGODNIK MÓD
w Warszawie
№ 174.

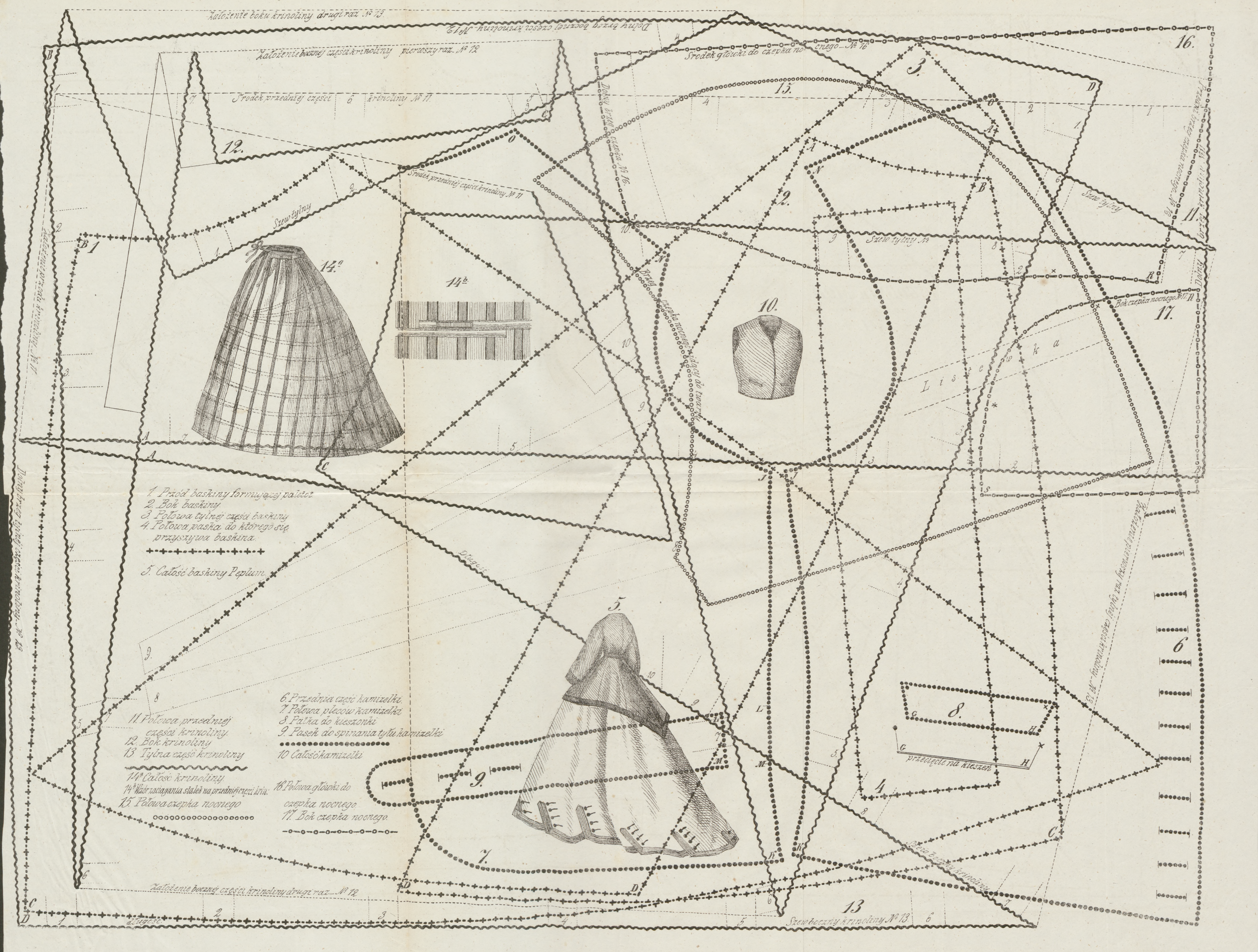
1. Przednia część stanika wyciętego
2. Bok przedni
3. Bok do pleców.
4. Połowa pleców
5. Połowa rękawa
6. Kieszonka

} dla dziewczynki od 2ch do 5ciu lat.

24. Całość sukienki ze stanikiem wyciętym.

7. Napierśnika połowa dla małego dziecka.
8. Całość tegoż napierśnika
9. Nagłówek do Czepeczka dla dziecka
10. Bok czepeczka
11. Całość czepeczka
12. Połowa czepeczka dla małego dziecka
13. Denko do tegoż
14. Całość czepeczka
15. Przednia część kaftanika marynarskiego.
16. Połowa pleców kaftanika.
17. Patka do kieszeni
18. Połowa kołnierza
19. Rękaw
20. Mankiet.
21. Epolet.
22. Całość kaftanika marynarskiego
23. Miara Centymetrów.





Założenie boku krinoliny drugi raz № 13
Założenie bocznej części krinoliny pierwszy raz № 12
Środek przedniej części krinoliny № 11
Środek główki do czepka nocnego № 16
Szew tylny
14a
14b
10.
5.
1. Przód baskiny formującej paletot
2. Bok baskiny
3. Połowa tylnej części baskiny
4. Połowa paska do którego się przyszywa baskina
5. Całość baskiny Peplum
6. Przednia część kamizelki
7. Połowa pleców kamizelki
8. Pałka do kieszonki
9. Pasek do spinania tyłu kamizelki
10 Całość kamizelki
11. Połowa przedniej części krinoliny
12. Bok krinoliny
13 Tylna część krinoliny
14a Całość krinoliny
14b Wzór zaciągania stalek na przedniej części kryn.
15. Połowa czepka nocnego
16 Połowa główki do czepka nocnego
17. Bok czepka nocnego
przecięcie na kieszeń
Bok czepka nocnego № 17
Założenie bocznej części krinoliny drugi raz № 12
Szew boczny krinoliny № 13

Dodatek do Nr. 31 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 23 Lipca (4 Sierpnia) 1866 r.

NAJPIĘKNIEJSZA.

(*Dalszy ciąg.*)

Zofję przeniknęło jakieś rzewno-błogie wzruszenie. Przycisnęła dłoń skuloną do piersi i łzy zapełniły jéj oczy.

Chwilowe nastąpiło milczenie. Turkot kół i stukot podków harmonijnie łączyły się z szumem suchych topoli.

— Czy nie chłodno pani? przerwał Zbigniew.

— Bynajmniéj! powietrze tak jest łagodne.

— Noc jesienna śliczna, prześliczna, Ossyanowa, że i zamajaczeją w myśli poetyczne obrazy i postacie północnego barda.

— Prawda, że w takie wieczory, mimowoli jawi się *Fingal* z urokami wszystkiemi....

— Jakież to piękne! Jakie piękne!.... Ale *Marja* nasza przedewszystkiem, nieprawdaż?..... Czarująca, przejrzysta postać niewieścia!

— Tak..... o, tak! poszepnęła Zofja.

— Szczytna i przeczysta *Marja* nigdy przedawnieniu nie ulegnie, nigdy się nie osłucha, jakkolwiek przez ust tyle przechodzi. Bo tam jest prawdziwy żar serca, żar bez skazy..... czysty, jak łza! Postać *Marji* pozostanie zawsze, dla każdego młodzieńczego umysłu, ideałem niewieściem, i zawsze się uprzytomni Wacław cwałujący po stepach, *a w dzikszéj jeszcze umysłu pustyni*, gdy mu żadna jeszcze nie świeciła gwiazda *a koń bił się do domu przez wichry i grady*. Dopóki młodzian nie powiedział sobie:

„Tyś dla mnie wzeszła, Marjo! i w brzasku mych myśli,
Świetną drogę twe światło ku niebiosom kryśli.“

— Znane to! Ale dla serca *anachronizmem* nigdy nie będzie...

— Patrz pan—zagadała Zofja, niby nieco stłumionym głosem, usiłująca przerwać kierunek rozmowy—patrz pan, jak ładnie maluje się Hubin w téj półjaśni. Smug długi, szarawy, ciemne drzewa, białe mury w księżycowym uśmiechnięte promieniu, staw ciemno-modry.......

— Ślicznie!

— Lubię równinę, bo oko sięgać daleko może.

Zbigniew milczał.

— Myślę, iżbym tęskniła, bawiąc długo pomiędzy górami.

— Pani do równiny nawykłaś.

Umilkli oboje na chwilę — lecz Zofja zaraz ozwała się znowu:

— Więc mama tyle niepokoiła się o mnie?

— Bardzo.

— Biedna mama!.... Mój Janie, pospieszajcie!

Jan zaciął koni, i siwek posunął się szybciéj.

Jakżeż państwo spędziliście wieczór?

Zofja uważała, że Zbigniew nagle zamilkł: czyliżby go była czem dotknęła?

— Graliśmy wista z dziadkiem, odrzekł.

Zofji zdawało się zmianę w głosie jego dosłyszeć: może go zadrasnęła, zmieniając tok rozmowy nagle? i sposępniała.

Kabryolet do wsi wjechał.

— Czy pani pozwolisz odprowadzić się do domu? zapytał Zbigniew jakoś niby monotonnie.

— Owszem..... proszę!.... Rodzicom będzie tak miło. Wdzięczni będą panu..... Pan jesteś tak dobry!.... I ja winnam panu podziękować.

— Za co, pani?

— Za towarzystwo przyjemne.

— Och, pani.....!

— We wszystkich chatach już ciemno. Jak cicho, jaki spokój!....

— A w téj ciszy i spokoju nocy, zwłaszcza też na wsi, jest taki jakiś urok tajemniczy, jak gdyby duchy nieboszczyków nawiedzały ziemię. Miasto w nocy nieprzyjemne robi wrażenie.

Zofja milczała.

— Otóż tam w téj chatce, jeszcze płonie światełko! i Zbigniew wskazał stojącą na uboczu lepiankę.

— Tam biedna matka czuwa nad chorem dziecięciem — odrzekła Zofja, i żal współczucia odbrzmiał w tych jéj wyrazach.

Wjechali na dziedziniec. Psy się ozwały, przededwór wybiegli państwo Dobrosławscy i niemal cała służba dworska.

Zofja zeskoczyła z kabryoletu i rzuciła w objęcia matki.

O, *nic dobrego!*—zawołała matka, tuląc ją do łona, nabawiłaś mnie niepokoju wielkiego!

— Mateczko najdroższa! nie mogłam powrócić rychléj: pani Bronowiczowa była rozżalona bardzo..... taka smutna!.... Jutro przyjedzie jéj siostra, to i będzie miała opiekę i utulenie.

Pan Dobrosławski tymczasem uścisnął rękę młodego sąsiada za trud podjęty.

I zniepokojona matka, pocieszona teraz, podała mu swoją dłoń z wdzięcznym wyrazem.

— A teraz pozwólcie sobie państwo powiedzieć *dobra noc* — wymówił Zbigniew, całując podaną sobie rękę.

Zdawało się Zofii, że coś niezwykłego było w jego głosie.

— Ocho, nic z tego, kochany sąsiedzie! — zawołał na to pan domu—harcowałeś po polach niepotrzebnie, wieczór chłodny, to i napijemy się jeszcze herbaty. Odprowadźcie konia pana Wojsławskiego: *areszt kładę na waszeci!*

Zbigniew poddał się temu *aresztowi* z widocznem zadowoleniem — i ujęty pod rękę przez gospodarza, pospołu do pokoju weszli.

Dwie godzin upłynęło małemu kółku nad wyraz miło. Zbigniew w nadzwyczajnie podniesionym był humorze — i Zofja już nie lękała się więcéj, że go w czasie drogi czemsić mimowiednie obraziła.

IV.

Przy kominkowym ogniu, w pokoju obok salonu, zasiadł pan Dobrosławski do *wista*, z gościem swoim, panem Gromskim, emerytem, bawiącym od dni kilku w Hubinie.

Zofja przy oknie haftowała.

Po chwili zaturkotało przede dworem, i pani domu wprowadziła ojca Nicefora, kwestarza księży Reformatów.

— *Laudetur Jesu Christe.*

— *In sæcula sæculorum!*

— Jak się masz, księże? — podał mu rękę gospodarz domu. Siadaj i ogrzéj się, bo tam dziś na dobre zagląda w oczy zima.

— I śnieg popruszać zaczyna—kwestarz dobył tabakierę, poczęstował panów, i sam niuch ogromny wpakował w nos, jakby umyślnie do tabaki stworzony, a potem bliżéj kominka usiadł.

— Czegóż ksiądz pozwoli: czy kawy, czy herbaty? zapytała pani domu i zadzwoniła.

— To już, pani dobrodziejko o herbatkę poproszę, bo więcéj rozgrzeje, a zresztą już jestem po kawie.

— A zkądże ksiądz jedzie?

— Z Suleńca, pani dobrodziejko.

Zofja zakwitła.

— Cóż tam młody dziedzic porabia? zapytał emeryt, zgarniając karty.

— Ho, ho! radość wielka, bo rodzic przyjechał.

— Pan Antoni! — ozwał się gospodarz domu — a kiedyż to:

— Przedwczoraj, późno wieczorem.

— Trzy lewy, dwa *honory, partja*; obliczył emeryt.

— Byłem tam na objedzie z proboszczem, potem pojechali panowie do Żegnowa, a jam poszedł do plebanii na kawę.

Zofja nagle pobladła, lecz tego nikt nie dostrzegł, nawet i matka nie—bo panna patrzała się w okno.

— Do Żegnowa! — zawołał pan Gromski, zapisawszy partją. Hm! hm!..... Rozumiem!

— A jutro, mówili, że tutaj będą — ciągnął kwestarz daléj.

— Miło mi będzie powitać pana Antoniego, wymówił pan domu—nie widziałem go, jak na pogrzebie ś. p. Mateusza. *A tout!*

— Pan Wojsławski, ojciec, bardzo zadowolony z gospodarstwa syna—prawił kwestarz ciągle—wczoraj obchodzili wszystko, pojechali na folwark i przeglądali regestra. O, pan ojciec ma głowę na karku, i nie nosi jéj dla kształtu tylko. Nocowałem tam. Był i proboszcz, i baraszkowaliśmy sobie do późna! *A tout, à tout* i *à tout! Partja* i *robber* skończony.

— Miałem dzisiaj *guignon'a* — rzucił emeryt—ale powetuję jeszcze, oj powetuję!... Otóż i samowarek jedzie, a potem znowu do roboty.

— *Zrewanżujesz* się, bom ja gracz nie wielki: udało mi się, jak ślepéj kurze znaleźć ziarno.

— No, i cóż tam więcéj, ojcze Niceforze? zwrócił się pan Gromski do kwestarza — więc panowie Wojsławscy zaraz po obiedzie pojechali do Żegnowa?

— Jak'em powiedział.

Zofja, zbliżywszy się do stołu, gdy światło podano, odłożyła robotę i powstała.

— Pojechali ekwipażem młodego? pytał daléj emeryt.

— Cztery skaro-gniade rozdziewiały nozdrza, mospanie, i niby pozrywać się chciały. A powóz cacko prawdziwe!—i klęsnął językiem.

— Będzie tam *coś!* —i emeryt zatarł ręce.

— Domyślamy się! — uśmiechnął się pan domu.

— Rodzice za tem, i bardzo — mówił emeryt półgłosem—panna nie od tego, partja dobra, arcy-dobra, to i ułoży się wszystko. Dosyć też już nawydzielała arbuzów, aż za nadto!.... Nie jeden łudził się bezpotrzebnie.

— Byle tylko i pana Zbigniewa nie zawiodło! — wtrącił kwestarz.

— Ej, co tam! Nie ma o to kłopotu!—poszepnął emeryt— wiem ci ja trochę....

— Ale panna!

— Panna?!.... Zjadłaby chyba licha, gdyby i tutaj wywinęła kominka.

Zofja nalała herbatę — i z pokoju wybiegła.

Po chwili wróciła znowu, by po raz drugi szklanki ponalewać.

— Cóż tobie, moje dziecko? — zapytał ojciec, odbierając herbatę—takaś zmieniona!

— Nic mi, ojcuszku.... głowa boli mnie troszkę — i uśmiechnęła się.

— Jesteś blada bardzo!

— Zaziębiła się pani, wychodząc do téj choréj kobiety—ozwał się emeryt, a kwestarz dodał:

— Katarzysko fatalne, bo to już taka pora.

— Idź lepiéj i połóż się, dziecko!

— Jak ją głowa pali! — wymówiła matka, kładąc dłoń na jéj czole—połóż się dzieweczko.

Zofja przycisnęła do ust rękę matki, i wyszła. W nocy mało spała, a nazajutrz znowu była bardzo blada.

I matka i córka spodziewały się listu z Żegnowa, donoszącego o deklaracji pana Zbigniewa. Ale nadeszło południe, objad, płynęły godziny a wiadomości żadnéj nie było.

— Powinnaby była Emcia wczoraj zaraz napisać.... choćby tylko słów parę.... to dziś rano byłby przywiózł posłaniec — Zofja miała łzy na źrenicy, ale uśmiechała się niby.

— Zobaczymy!—odrzekła matka—może dziś sami przyjadą.

Zofja nagle zapłonęła, a potem więcéj jeszcze zbladła.

Około godziny czwartéj zadudniało na dziedzińcu, i zatrzymała się przededworem czwórka skaro-gniada,

przez księdza Nicefora sławiona tyle. Z ładnego kocza wyskoczył pan Zbigniew i pomógł wysiąść poważnemu mężczyźnie.

Pan Dobrosławski i emeryt wybiegli na powitanie gości.

Zofja powstała od roboty — potarła lica batystową chusteczką—tchu biednéj nie stało.

Panowie weszli do salonu.

Pan Antoni Wojsławski dziękował zacnym gospodarzom za przyjęcie tak względne, łaskawe i przyjazne syna jego, polecając go i nadal ich łasce.

A pan Zbigniew, przystępując z rozjaśnioną twarzą do Zofii, wymówił:

— Proszę! — i podał jéj liścik w eleganckiéj kopercie.

— Od kogo?

— Od panny Emmy.

Zofja zadrżała, pobladła, lecz uśmiechnęła się.

— Dziękuję! — poszepnęła i do drugiego wybiegła pokoju. Rozłamała pieczątkę—i jednem niemal spojrzeniem następujące objęła wyrazy:

„*Moja droga, kochana Zosieńko!*

Niegodziwa krawcowa całkiem mi rękawki u mojéj pięknéj popsuła sukienki. Szczęściem wszelako, że téj materji mam jeszcze dwa łokcie i pół. Ty wiesz, jest to sztuczka, którą mam z Berlina od Gersona: biała materja w różowy rzucik.

Mówiła mi moja panna, że siostra Twojéj Nitkosi żona celnika w miasteczku, ma przedziwną formę rękawka, *quelque chose de charmant!* a ma go od panny, księżny Ignacowéj, która go z Paryża przywiozła. Otóż, *ma toute chérie*, niechżeż poczciwa Nitkosia bez zwłoki sprowadzi mi tę formę, bo sukienka może będzie mi potrzebną na imieniny do Gręzin.

Wiem, że mi to sprawisz co najrychléj Aniołku!

Pan Zbigniew jest pocztą moją — ale nie odpisuj przez niego. Panowie będą na objedzie w Suleńcu, a my przyjedziemy do Was, i ustnie mi odpowiesz.

Całuję Cię serdecznie, Aniołku!

Emma.“

Zofja pokraśniała, jak wisienka, czytając list przyjaciołki — i uśmiechnęła się. Przeczytała go po raz drugi — i było jéj lekko — swobodnie—i śmiejąc się wesoło, pismo Emmy matce do przeczytania podała.

— Jakto!..... Więc.......?—poszepnęła pani Dobrosławska, patrząc się z troskliwością na córkę.

— Pisze o rękawkach.... o sukience..... — i Zofja zapłonęła znowu.

Pani Dobrosławska list przeczytała, pokręciła głową, niby uśmiechnęła się także i bez wyrzeczenia słówka jednego, zwróciła go córce.

Zofja bez zwłoki do swojéj Nitkosi pobiegła, by Nitkosia także znowu *bez zwłoki* wyprawiła umyślnego po formę rękawka.

Z krasą na licu weszła Zofja do salonu.

— Pani byłaś cierpiąca wczoraj?—zapytał ją Zbigniew.

— Troszkę.... Któż panu mówił?

— Pan Gromski. Pani zaziębiłaś się, wychodząc.

— Być może, ale już minęło — zagadała szybko, niby pomięszana trochę. Cóż porabiają w Żegnowie?

— Zdrowi wszyscy.

— Jutro panie tu będą.

— Przywiozłem pani dzieł parę świeżo wyszłych: odebrałem je właśnie wczoraj. Poleciłem służącemu, by je oddał pannie Nitkowskiéj.

Dziękuję, ślicznie dziękuję. Jakżeż tam Emcia czas spędza? Cóż czyta?

— Nie wiem, pani. Nie było o tem mowy.

„O czemś *ważniejszem* mówili może!“ — i z lica młodéj dziewczyny krasa znowu na chwilę spełzła.

W tym czasie wniósł gospodarz domu *toast:* „na powitanie szanownego gościa, pana Antoniego Wojsławskiego!“ A tenże znowu: „na podziękowanie gospodarstwu!“—jak to bywało, bywa i bywać będzie, dopóki inne nie nastaną zwyczaje.

Przy pożegnaniu zaprosił młody dziedzic Suleńca, panów na objad do siebie, chcąc ojcu kochanemu uprzyjemnić pobyt w swoim domu. I zaproszenie to chętnie przyjętem zostało.

Nazajutrz, przed południem, leżał już wykrój rękawka, *przedziwny*, *paryzki*, na stoliku w pokoju Zofii. Pod wieczór przyjechały panie z Żegnowa — i piękna Emma skakała z radości, odbierając go z rąk Zofii—i ściskała i całowała *najdroższego aniołka.*

— I cóż, Emmo? — zapytała Zofja następnie, biorąc ją pod rękę, a serce jéj kołatało, jak u spłoszonéj ptaszyny. I cóż tam?.... powiedz..... Bo wszyscy przypuszczali wczoraj, że ojciec pana Zbigniewa....

— Oświadczy go o mnie — dokończyła Emma frazesu, który z trudnością z ust Zofii wychodził.

— Tak....... tak myśleli wszyscy.

— Ej, nikt nic nie mówił!..... Niechaj się jeszcze odwlecze! Nie pilno mi wcale!

Zofja opuściła głowę.

— Żądam, ażeby mój przyszły kochał mnie, aż do szaleństwa! Poświęcał się dla mnie..... poświęcał mi wszystko, i dał mi szczęście! A takiego ideału w panu Zbigniewie *dotąd* nie widzę..... chyba późniéj!

— A ty, Emmo!..... Emmo, czy także poświęciłabyś wszystko, by jemu nieść szczęście?

— Ja?!..... Ach, to co innnego!..... Kochałabym go za to....

— Ależ z poświęceniem?

— Bylem tylko miała co pragnę!..... Wiesz, że ja sobie niczego odmówić nie mogę, a zresztą i *nie potrzebuję*.

— Emmo, ja rozumiem, że być z poświęceniem dla kogoś ukochanego: dać mu szczęście, najwyższem jest szczęściem!

— Och, to jakaś *wyidealizowana mrzonka*, któréj nie rozumiem wcale. *Paradox!*.... Ale, czy też dwa łokcie i pół materji na takie wystarczą rękawki? — i poczęła formę rozkładać.

— Zapewne! zapewne!—Zofii usta rzewny otoczył uśmiech.

Nitkosiu! droga, jedyna Nitkosiu! — zawołała Emma do przyległego pokoju—czy też pół-trzecia łokcia materji wystarczy na takie rękawki?

— Och, i zostanie jeszcze!

— To dobrze! to ślicznie! — pocałowała w powietrzu czoło Nitkosi, i uradowana w dłonie klasnęła.

Zofja patrzała się na nią w zamyśleniu.

Nazajutrz, przy śniadaniu, dziwił się stary emeryt, że ojciec nie *deklarował* pana Zbigniewa.

— Czyliby nie dowierzali?—wymówił, pokręcając głową — atoż gdyby mnie byli zapytali.... A jeszcze też i pani Wojsławska bardzo sobie pannę Emmę za synowę życzy. Jestto jéj *idealik*.

Zofja w téj chwili nóż upuściła, którym chleb krajała, a potem z pokoju wyszła.

V.

Na tydzień przed Bożem Narodzeniem, pojechała pani Dobrosławska do Warszawy, by młodsze córeczki i syna na święta do domu przywieść, a zarazem i niektóre sprawunki ułatwić. Zofja pozostała się w domu, bo zbyt wiele do czynienia miała.

Dnia następnego wyjechał ojciec na drugi folwark, a ona zasiadła w pokoju przy salonie i rozłożyła swoje podarki na gwiazdkę: czepeczek własnego haftu, jakby koronka brukselska, dla mateczki, i takiż sam dla ciotki; dla ojca śliczną fjołkową czapeczkę ze złotem i wązkim szlaczkiem tureckim; dla siostrzyczek rękawki i kołnierzyki; dla Stasia ostatnie poezye Lenartowicza; dla Andzi uczennicy swojéj, *Rozrywki* Seweryny Pruszakowéj i skrzyneczkę do robótki z potrzebami wszystkiemi; dla jéj braciszka cały zasób pismienniczy. Książki dopiero co z poczty nadeszły, i właśnie podpisała na jednéj: *Dla brata mojego Stanisława*—a na drugiéj: *Dla kochanéj Andzi w upominku.* A była tam jeszcze i książka obrazkowa z powiastkami dziecinnemi dla Józi, młodszéj córeczki pani Bronowiczowéj. Uporządkowawszy to wszystko, wyjęła Zofja śliczną lalkę w batystowéj sukience z pudełka, różne kawałki materji, wstążek, koronek—i poczęła szyć sukienki dla niéj, a nawet i kapelusik najświeższego kształtu; pończoszki i buciki, jednem słowem, wyprawę całą.

Zatopiona w téj pracy drobiazgowéj, zatopiona w myślach..... o czem? Och, nie godzi się zdradzać marzeń dziewczęcia! Zofja nie dosłyszała, że zaturkotało przede dworem, bo uważając, możeby nawet turkot była poznała.

Otworzono drzwi do salonu, odgłos lekkiéj odbił się stopy. Zofja spojrzała: Zbigniew stał przed nią. Zapłonęła gwałtownie a potem zbladła. Ale, podnosząc się nieco, z uśmiechem powitała gościa.

— O, jakiż tu w koło pani magazyn! — zawołał, niby niewidząc jéj pomieszania. I panna Zofja lalkę stroi? — dodał, siadając obok na taborecie, i patrzał się z uśmiechem i zajęciem, jak zręczne jéj palce miniaturowy kapelusik stroiły.

— To jest niespodzianka dla małéj Józi pani Bronowiczowéj—odrzekła spokojnie ale czując spojrzenie pana Zbigniewa, lubo że go nie widziała, nad igiełką pochylona.

— *Gwiazdka!* — O, mój Boże, to mi dziecinne przypomina lata!..... Matkę moją ukochaną w dniu tym tak zawsze skrzętną, a dla nas dzieci w cudownie tajemniczy przyobleczona urok! — zaczął przeglądać książki i głośno przeczytał napis: „*Dla kochanéj Andzi w upominku.*“

Potem śliczne przeglądał hafty.

— I to wszystko jest pani praca?—zapytał.

— Czyliż to zasługuje na nazwę *praca*? wymówiła z uśmiechem—to było tak miłe zajęcie!

— Praca miłości!—poszepnął. Przerzucił kart parę poezji; potem książkę odłożył, i niby przysunął się bliżéj.

— Pani nie przepomniałaś o nikim z ukochanych swoich!

— A jakże przepomniećbym mogła!—i dziwnie upięknionem było w téj chwili jéj lice.

— O nikim! — powtórzył Zbigniew — wszystkich pani obdarzysz.

— Dla synów ciotki mojéj jeszcze muszę sakiewki pokończyć — wymówiła, a strojąc kapelusik zakłuła się w palec i upuściła naparstek.

Zbigniew go podniósł i oddał.

— Dziękuję!— poszepnęła.

— Nawet i lalka kapelusik dostanie!

Zofja uśmiechnęła się.

— Wszystkich pani obdarzysz!..... A gdybym i ja dla siebie poprosił o *gwiazdkę?* — poszepnął głosem przyciszonym, błagalnym, i pochylił się ku niéj.

Rączka z miniaturowym kapelusikiem zadrżała.

— Pan?..... — wydobyło się z scieśnionéj piersi młodéj dziewczyny, bo przecież *coś* odpowiedzieć musiała, a najłatwiéj było tem odpowiedzieć pytaniem.

— Ja!.... Ggybym prosił i błagał!.,.. głos jego był dziwnie wzruszony, stłumiony.

— O co?—zapytała, przyniewalając się do obojętnego wyrazu.

— O jedno tylko słówko!— ujął drżące jéj ręce—kapelusik z nich wypadł — a rączki obiedwie do ust przycisnął.... i posypały się wyrazy cichym wypowiedziane poszeptem — dosłyszane tylko i zrozumiane Zofii sercem.

I *gwiazdką* stało się dla niego owo *słówko* jedno, wybłagane od niéj! — Zofja zacisnęła dłońmi oczy, a po jéj licu srebrzyste spłynęły łezki.

Zbigniewa na wskróś przeniknęło poszanowanie, widząc ten objaw silnego wzruszenia istoty, którą ponad wszystko cenił. — I on oczy przysłonił i milczenie uroczyste przez chwilę potrwało.

Zofja łzy przysłoniła chusteczką—i powstała. Zbigniew podniósł się także, ujął zimną jéj rękę, do ust ją przycisnął i wyrzekł:

— Jutro do rodziców jadę. A powrócę z matką moją, która o szczęście dla mnie poprosi.

Zofja z przysłoniętemi oczyma do pokoju swojego pobiegła. Zbigniew szybko salon przemierzał.

Po niedługiéj chwili, jakoby z nieba zesłany, pan Dobrosławski z folwarku powrócił, a jeszcze i księdza wikarego z miasteczka z sobą przywiózł, którego w drodze spotkał.

Niebawem ukazała się i panna Zofja, z kluczami w ręku—spokojna—uśmiechnięta—a zmrok wieczorny nie dozwolił dostrzedz świeżych łez ślady, owych bez ceny pereł dla Zbigniewa.

(d. n.)
